
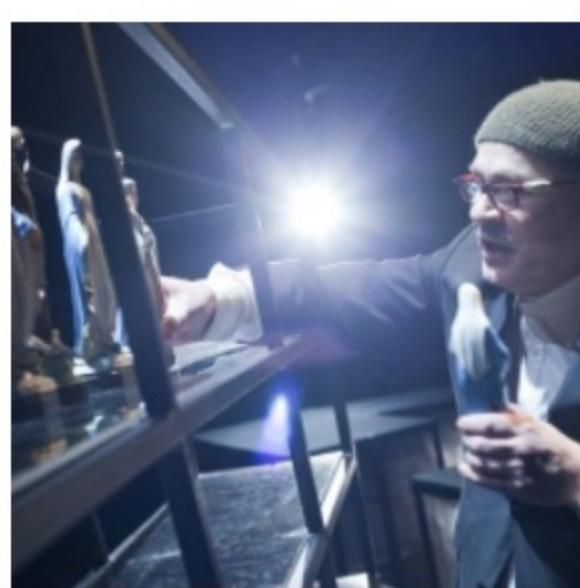


Save Our Souls

Samotny Zachód, reż. Robert Czechowski, Lubuski Teatr w Zielonej Górze

	JOANNA OSTROWSKA	Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu	A A A
---	-------------------------	---	-------



Fot. Adam Hanuszkiewicz

Nienawiść. Właściwie jedyne uczucie, z jakim mamy do czynienia w świecie przedstawionym *Samotnego Zachodu* w reżyserii Roberta Czechowskiego na scenie Teatru Lubuskiego. Nienawiść syczy się, tryska, wyziera z każdego słowa, ruchu, gestu dwóch braci: Colemana (Jerzy Kaczmarowski) i Valene'a (Janusz Młyński) Connorów. Jeśli posiadają oni inne uczucia czy choćby odczucia, wyrastają one i podporządkowane są właśnie jej – nienawiści. Nienawiści totalnej, gorącej, bezrozumnej, łatwej, nakierowanej ku wszystkiemu, co dookoła; nienawiści naszej codziennej, bo ten rodzaj emocji, jaki królował

na scenie, bardzo przypominał temperaturę uczuć, z jakimi ostatnio można mieć do czynienia w Polsce.

Dramat Martina McDonagha, choć jego akcja osadzona jest w Irlandii, można odebrać jako alegorię polskiej rzeczywistości, bo bardzo łatwo rozpoznać w nim elementy nieobce i naszej kulturze: silną obecność katolicyzmu oraz alkoholu; tajemnice, które są powszechnie znane, tylko udowodnić ich nie sposób. I wszystko podlane sosem nienawiści. Dlatego może tak ochoczo widzowie reagowali na teksty i działania ze sceny? Łatwo mogli w nich rozpoznać swoich sąsiadów, braci, siebie samych? Taką identyfikację ułatwiła inscenizacja, w której wszystkie elementy nakierowywały na prezentację relacji między dwoma braćmi. Pozostałe postacie: ksiądz Welsh (Ernest Nita) i Girleen (Romana Filipowska) oraz relacja między nimi stanowiły wyłącznie dopełnienie tego, co rozgrywa się między Connorami. Można by powiedzieć, że Kaczmarowski i Młyński, wygrywając niemal wyłącznie nienawiść, nie mieli wiele do zagrania, ale to nieprawda. Choć obaj ich bracia są bardzo do siebie podobni, właśnie głównie w postawie, jaką prezentują wobec samych siebie i świata, to aktorzy znakomicie i bardzo subtelnie (choć to słowo może wydawać się tu nie na miejscu) wygrywają rozmaite stadia, niuansy, półcienie, odmiany nienawiści. Nawet słowa pojednawczego wyznania dzięki intonacji głosu, mowie ciała zamieniają się w podszytą nienawiścią zaczepkę. Toteż to, co oglądamy na scenie, jawi się jako bardzo precyzyjne jej (nienawiści) stadium, a także przestroga. Spektakl wyraziście pokazuje sytuację, w której przekroczony został, używając terminologii lotniczej, *point of no return* – nie ma już fizycznej możliwości, żeby zawrócić, trzeba kontynuować obrany kurs, choć może już się nie chce. Taki właśnie moment oglądamy w zielonogórskim przedstawieniu. Bracia wracają z pogrzebu ojca, który zginął w wyniku „wypadku z bronią”. To kolejna ofiara rozmaitego rodzaju „wypadków” w okolicy i choć wszyscy wiedzą, że nie były to żadne wypadki, dla wygody (bo raczej nie ze strachu) podtrzymywać będą oficjalne wersje. Cały spektakl ukazuje klincz, w jakim wzajemnie trzymają się bracia, żaden z nich nie jest lepszy od drugiego, żaden bardziej wart zrozumienia czy stanięcia po jego stronie. Jeden potrzebuje drugiego tylko po to, by mieć kogo nienawidzić. To uczucie nie tylko trzyma ich razem, lecz także trzyma ich przy życiu. Dlatego jeśli chcą żyć, muszą trzymać się obranego dawno temu kursu i przymuszenie ich do zmiany postawy, co usiłuje różnymi sposobami przeprowadzić ojciec Welsh, jest bezcelowe. Świadczy o tym sposób, w jaki rozgrywane są końcowe sceny przedstawienia, te, w których bracia, pod wpływem moralnego szantażu duchownego podejmują próbę zmiany łączącej ich relacji, ale co chwila, jakby kierowało nimi coś silniejszego niż ich własne postanowienie, wpadają w utarty tor dobrze utrwalonych zachowań. Obaj aktorzy prowadzą swoje postacie właśnie w ten sposób, iż akcja spektaklu nie staje się jednostkową opowieścią o patologii dziejącej się gdzieś tam, a jest właśnie rozpisany na dwa głosy studium o nienawiści, której nic nie jest już w stanie powstrzymać – żadne „tradycyjne wartości”, jak rodzina czy religia. Obie traktowane są jak proste narzędzia przydatne w życiu, dlatego jeden z braci mówi, iż dobrze jest być katolikiem, bo można zabić ojca, a potem iść do spowiedzi i wszystko pójść w zapomnienie. Religia (bo nie wiara) traktowana jest przedmiotowo, jak zbiór świętych figurek kolekcjonowany przez Valene'a, lub instrumentalnie – jak narzędzie do wymazywania win. Jak ujmuje to Girleen, nawet jeśli bracia czy ona mają jakieś zasady moralne, to się z nimi nie obnoszą. Religia stanowi dla nich rodzaj zabezpieczenia – pokazujemy, że jesteśmy religijni, więc mamy prawo postępować źle i nienawistnie, bo Bóg „swoim” daruje winy. Z czysto pragmatycznych względów lepiej zapisać się do jego stronnictwa, nawet jeśli samemu nie zamierza się wypełniać jego programu. Takie podejście powierzonych jego opiece owieczek jest powodem nieustannego kryzysu wiary, jaki przechodzi ojciec Welsh, i trudno mu się dziwić.

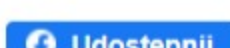
Samotny Zachód jest światem, który ma Boga na sztandarach, ale w którym nikt nie słucha jego nauki, choćby tej dotyczącej miłości bliźniego. Czyż nie wygląda to znajomo? Dlatego najbardziej tragiczną postacią jest w tym spektaklu ksiądz – niepotrzebny element dekoracyjny, niezdolny do bycia strażnikiem etycznego porządku, przewodnikiem duchowym czy choćby kimś, kto potrafi odnaleźć się w tym świecie, jest nieporadny, trochę śmieszny w przykrótkiej sutannie. Ojciec Welsh Nity jest lekko zagubiony, wycofany, niepewny. Jego samopoświęcenie się wydaje się nie tyle wyrazem determinacji, by zbawić powierzony mu świat, co efektem ilości wypitego alkoholu. Welsh łączność ze swoim „owieczkami” próbuje odzyskać na płaszczyźnie, która wydaje się im najważniejsza – permanentnego bycia poditym oraz kontaktu z jeziorem, które dla wielu staje się wrotami do innego świata. Równocześnie jego alkoholizm, o jakim spekulują pozostałe postacie, dzięki grze Nity pozostaje bardziej w sferze plotek, choć ksiądz czasem wywraca się na scenie. W takich „pijackich” zachowaniach aktora nie ma jednak potępienia księdza czy próby uczynienia go śmiesznym, jest natomiast raczej przejmująco zagrane maskowanie rozpacz. Jego ksiądz to nie wielka postać tragiczna, a raczej ktoś, kogo przerosło zwykłe życie, toteż nawet ów ostateczny krok, na jaki decyduje się Welsh, rozegrany jest nieledwie bez emocji. Właśnie ten spokój księdza robi w scenie samobójstwa tak silne wrażenie. Podobnie niejednoznacznie zaznaczona jest relacja ojca Welsha z Girleen. Umieszczenie obrazu ich bliskości wysoko, z tyłu sceny, tam, gdzie rozgrywają się wydarzenia nierzeczywiste, fantazmatyczne, powoduje iż nie mamy pewności, czy to aby nie fantazja, a jeśli nawet tak, to którego z nich. Czechowski zadbał, by tę płaszczyznę codziennego życia, pełną wulgarności, brutalności, uzupełnić o obrazy równie niepokojące, lecz jakby pochodzące z innej rzeczywistości. Toteż wysoko nad sceną, za półprzezroczystą zasłoną pojawiają się cztery postacie – topielcy z jeziora w Leenane. To oni swoim tańcem wzywają ojca Welsha do siebie, pokazują, iż istnieje jakiś inny wymiar rzeczywistości niż ten, w którym tkwią mieszkańcy wioski. To kolejny element, który wydobywa spektakl z zakładki „przedstawienie obyczajowe” i przenosi w sferę przypowieści.

Teatr Lubuski pod kierunkiem swojego dyrektora przygotował bardzo dobry spektakl, pełen wyrównanego, rzetelnego aktorstwa (nawet zbyt ekspresyjna na początku Filipowska zbudowała wielowymiarową postać), a jednak wyszłam z niego pełna niedobrych emocji. Pochodzę z tej szkoły, która uważa, że właściwym teatrem jest to, co wydarza się między aktorami a widzami. I ten właściwy spektakl, jakiego byłam uczestnikiem w Teatrze Lubuskim, w przeciwieństwie do tego, co rozgrywało się wyłącznie na scenie, już nie tyle mnie zniesmaczył, co przeraził. Ze sceny lala się strumieniami nienawiści ubrana głównie w chamskie, brutalne, wulgarne słowa, potrzebne po to, by mocnymi środkami ukazać pustkę moralną i egzystencjalną bohaterów, czasem jedynie skontrapunktowane czymś, co można by uznać za żart – wentyl bezpieczeństwa. Kaczmarowski i Młyński, wypowiadając całe te stopy agresji słownej nie robili swoją grą nic, by w jakikolwiek sposób uczynić je zabawnymi, śmiesznymi. Byli wulgarni, lecz przez to groźni, a mimo tego przy każdym ich przekleństwie, każdym przejawie mowy nienawiści widzowie wyli ze śmiechu. Tak jakby każda „kurwa” była najzabawniejszą rzeczą, jaką w życiu słyszeli. Powtórzę: w grze aktorów nie było nic, co by zachęcało do takiej reakcji, żaden z nich nie przypominał Ferdka Kiepskiego czy Boczka, a właśnie tak na nich reagowano. Groza, która płynęła ze sceny, była natychmiast gaszona reakcjami widzów, choć naprawdę w samej inscenizacji nie było nic, co by kierowało odbiór w tę stronę. Naprawdę bluzgi, informacje o strzale w głowę, zarąbaniu siekierą, okrutnym okaleczeniu psa czy samobójstwie brzmią aż tak śmiesznie? Czym ci siedzący na widowni, sądząc po ich reakcjach, tak bardzo różnili się od Valene'a i Colmana?

Zespół Teatru Lubuskiego, pokazując nam Irlandię, tak naprawdę wprowadził nas bardzo wyraźnie w polską teraźniejszość, pokazał bowiem skutki hodowania nienawiści między ludźmi, którzy skazani są na życie obok siebie. Nienachalnie, ale jednak mocno spróbował nas namówić, byśmy przyrzekli się samym sobie. Komuślaza z tego przyglądania się nie jest optymistyczna. Oglądając spektakl w Lubuskim, pomyślałam, że staliśmy się już Zachodem, przynajmniej tym samotnym z tekstu McDonagha. Obojętność na nienawiść i zło już nam towarzyszy, a tragizm budzi śmiech. Pora nadać SOS? Bo poświęcać samego siebie, by inni przejrżeli na oczy – co pokazywał przypadek ojca Welsha – raczej nie ma sensu.

29-01-2016

Lubuski Teatr w Zielonej Górze Martin McDonagh Samotny Zachód reżyseria: Robert Czechowski scenografia i kostiumy: Wojciech Stefaniak opracowanie muzyczne: Damian-neogenn-Lindner ruch sceniczny: Paweł Matyasik obsada: Ernest Nita, Jerzy Kaczmarowski, Janusz Młyński, Romana Filipowska, Wojciech Romańczyk, Joanna Koc, Joanna Wąz, Alicja Staszewicz premiera: 16.01.2016

TAGI: [Robert Czechowski](#), [Martin McDonagh](#), [Zielona Góra](#), [Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego](#),

SKOMENTUJ

Autor lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

jeden raz osiem jako liczbę:



KOMENTARZE (1)



jkz | 2016-01-31 12:41:29 # Cytuj

należy, moim zdaniem, zwrócić uwagę komisarce polityczno-ideologicznej, by swą legitymację partyjną zostawiła w szatni, bo tu pisząc o nienawiści i dodając "polskiej" najwyraźniej nie ma ochoty wspominać o niejakim Cybie (niech mu wyrok najdłuższym będzie) i mordowaniu Marka Rosiaka w ramach dożywania watahy (przypomnę: cytat z ministra Sikorskiego), czyli "demokratyzowania" sceny politycznej na modłę Komuchów Odrzuconych... I jeszcze: że to publiczność ma rację - szczególnie w wyborach! Co nie zmienia faktu, że to dobra sztuka i najwyraźniej dobre przedstawienie. Gratuluję! Tylko to sprawozdanie...

POWIĄZANE TEATRY



Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego

PRZECZYTAJ TEŻ



Joanna Ostrowska
Sami nie-swoi



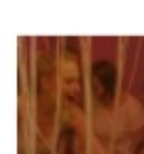
Magda Piekarska
Uwaga, leci Banina!



Magda Piekarska
W strasznych mieszkaniach straszni mieszczanie



Juliusz Tyszcza
Spektakl z długą siwą brodą

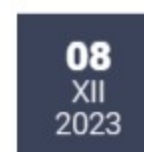


Juliusz Tyszcza
Lajf is not brutal



Magda Piekarska
Raper w ogrodzie

KALENDARIUM



Boska Komedія.
Międzynarodowy Festiwal Teatralny XVI edycja

BĄDZ NA BIEŻĄCO

